

T E R E S A T O M E O

Twój nowy

.....
ZNAJDŹ CZAS NA

duchowe
spa

.....
POTRZEBNY CI

medialny
detox?

.....
FAŁSZYWY

fe!minizm

antykoncepcja
antykobieca

wyzwolona
przez Niego

FRONDA

REDAKCJA I KOREKTA

Małgorzata Terlikowska

PROJEKT GRAFICZNY CAŁOŚCI I SKŁAD

Wojciech Sobolewski

Copyright 2012 by FRONDA PL Spółka z o.o. & Ignatius Press

ISBN

978-83-62268-86-3

WYDAWCA

FRONDA PL Spółka z o.o.

ul. Łopuszańska 32 · 02-220 Warszawa

tel. 22 8365444, 8773735 · fax 22 8773734

e-mail: fronda@fronda.pl

www.wydawnictwofronda.pl

DRUK I OPRAWA

Drukarnia im. A. Półtawskiego · ul. Krakowska 62 · 25-701 Kielce

Wydanie I

T E R E S A T O M E O

Twój nowy

PRZEŁOŻYŁA

Magda Sobolewska

FRONDA



CHARLES J. CHAPUT, Arcybiskup Denver	
przemawiajcie w świetle	7
ROZDZIAŁ PIERWSZY	
co ktoś taki jak ja robi w Kościele?	9
ROZDZIAŁ DRUGI	
medialny obłąd i pomyłka feminizmu	31
ROZDZIAŁ TRZECI	
aborcyjny przekręt	47
ROZDZIAŁ CZWARTY	
„wolna miłość” i oszustwo antykoncepcji	67
ROZDZIAŁ PIĄTY	
lustreczko, powiedz przecie...	91
ROZDZIAŁ SZÓSTY	
nasz największy zwolennik i wyzwoliciel	107
ROZDZIAŁ SIÓDMY	
ty i media: zupełnie nowy styl	125
ROZDZIAŁ ÓSMY	
nadzieja zawieść nie może	147
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY	
brawo , dziewczyny!	153
JANET SMITH	
antykoncepcja: dlaczego nie?	193

przemawiajcie w świetle¹

Charles J. Chaput, Arcybiskup Denver

Kardynał Henri de Lubac napisał kiedyś, że „nieprawdą jest (...) jakoby człowiek nie mógł zorganizować świata bez Boga. Prawdą jest natomiast to, że bez Boga człowiek ostatecznie może zorganizować świat jedynie przeciwko człowiekowi. Humanizm ekskluzywny jest humanizmem niehumanym” (...).

żyć w prawdzie to żyć według Jezusa Chrystusa i Słowa Bożego w Piśmie Świętym. To głosić prawdę chrześcijańskiej Ewangelii nie tylko słowem, ale także przykładem. To opierać swoje życie każdego dnia i w każdej chwili na niezachwianym przekonaniu, że Bóg żyje i że Jego miłość jest motywacją ludzkiej historii i napędem każdego autentycznie ludzkiego życia. To wierzyć, że prawdy wiary są warte tego, by za nie cierpieć i umierać.

żyć w prawdzie to także mówić prawdę i nazywać rzeczy po imieniu. To znaczy demaskować kłamstwa, którymi pewni ludzie posługują się, by kierować życiem innych (...). Świat pilnie potrzebuje nowego przebudzenia Kościoła w naszych czynach i w danym publicznie i prywatnie świadectwie (...). Musimy naprawdę uwierzyć, a nie tylko mówić, że wierzymy. A potem udowodnić to swoim życiem. Musimy z takim przekonaniem wyznawać prawdy wiary, aż zapagniemy gorąco, by według nich żyć, według nich kochać i bronić ich, nawet za cenę niewygody albo cierpienia.

Jesteśmy ambasadorami żywego Boga w świecie, który niemal już o Nim zapomnieli. Naszym zadaniem jest uobecnić Boga; być obliczem Jego miłości; zaproponować jeszcze raz współczesnym mężczyźnie i kobiecie dialog zbawienia (...).

Kościół i każde chrześcijańskie życie mają kształt krzyża. Nasze życie musi stać się liturgią, ofiarą z samego siebie, ucieleśniającą miłość Boga i odnowę świata (...).

¹ Abp Charles J. Chaput (od 8 sierpnia 2011 roku arcybiskup Filadelfii), *Speak into the Light (Przemawiajcie w świetle)*, „Magnificat” z 9 lipca 2011, s. 129-131. Fragmenty wystąpienia abp. Chaputa podczas 15. Sympozjum Stowarzyszenia Kanonistów Słowackich.

Głośmy Jezusa Chrystusa swoim życiem, ze wszystkich sił. I wspierajmy się nawzajem – choćby miało nas to drogo kosztować – tak abyśmy zdając sprawę przed Panem, zostali zaliczeni do wiernych i odważnych, a nie do tchórzliwych albo kunktatorów, albo takich, którzy szli na kompromisy aż do utraty swoich przekonań; albo do takich, którzy milczeli, gdy powinni byli powiedzieć właściwe słowo we właściwym czasie.

co ktoś taki jak ja robi w Kościele?

Świadectwo Teresy

Skąd się tu wzięłam? To pytanie za sto punktów zadawałam sobie ciągle od nowa, siedząc w audytorium watykańskiego kongresu kobiet w lutym 2008 roku¹. Jakimś cudem znalazłam się w gronie 280 uczestniczek i uczestników, którzy zjechali z całego świata na to ważne wydarzenie poświęcone sprawom kobiet. Zorganizowano je, aby uczcić dwudziestą rocznicę wydania przełomowego dokumentu Jana Pawła II *Mulieris dignitatem* (O godności i powołaniu kobiety).

Pamiętam nastrój oczekiwania i podniecenia, z jakim wskakiwałam do taksówki zmierzającej na lotnisko w Detroit i wsiadałam na pokład samolotu lecącego do Rzymu. W głowie miałam zamęt, serce rozsadzały wspomnienia wszystkich dotychczasowych przeżyć, a wśród nich tego ostrego zakrętu, którego ostatecznym wynikiem było zaproszenie na kongres. Wszystko to wydawało mi się – i pod wieloma względami wydaje mi się nadal – zupełnie nierzeczywiste.

¹ Międzynarodowy kongres „Kobieta i mężczyzna, człowieczeństwo w swojej pełni” (Watykan, 7-9 lutego 2008 roku).

Jest takie powiedzenie: życie to jest to, co się wydarza, gdy jesteśmy zajęci swoimi planami. Jest też inne powiedzenie, jeszcze lepiej opisujące drogę, która zaprowadziła mnie na rzymski kongres i dalej: „Chcesz rozśmieszyć Boga? Zaczynj planować”. Pan Bóg zapewne jeszcze się śmieje – albo przynajmniej nie przestaje się uśmiechać – widząc, jak była feministka i świecka dziennikarka, czyli ja, codziennie przemawia na falach katolickiego radia, a kilka razy w miesiącu wygłasza odczyty do katolickich audytoriów, aby powiedzieć jak największej liczbie osób – zwłaszcza kobiet – jak bardzo się myliła i jak wielką rację miał – i ma – Kościół. Trzeba pamiętać, że mówi to ktoś, kto odszedł od katolickiej wiary swoich rodziców i nie oglądał się na nią przez ponad piętnaście lat. Mówi to ktoś, kto ledwie potrafił wyliczyć siedem sakramentów, a do Biblii zajrzał nie więcej niż raz w życiu. Nie potrafiłam nawet odróżnić Nowego Testamentu od Starego, bo Kościół i Biblia nie mieściły się nawet w moim polu widzenia.

No dobrze, przyznaję, w domu moich rodziców gdzieś na stoliku leżała Biblia, ale sięgnęłam po nią tylko jeden raz – kiedy wybierałam czytania na swój ślub. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego zawarcie małżeństwa w Kościele było dla mnie tak ważne, skoro prawie wcale nie praktykowałam wiary. Ale tak właśnie postępowało i postępuje nadal wielu z nas: traktujemy sakramenty Kościoła jak rytuały, które pomagają nam świętować ważne momenty życia, ale w żaden sposób nie przekładają się one na prawdziwą więź z Chrystusem. Ludzie urodzeni tak jak ja w katolickiej rodzinie często chcą mieć ślub kościelny – ze wszystkimi ozdobnikami i bez żadnych zobowiązań – a nawet sądzą, że im się on należy. Co do mnie, to wchodząc w małżeństwo, nie brałam wiary na poważnie, bo w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych byłam zbyt zajęta słuchaniem tyrad radykalnych feministek, które wiecowały w Waszyngtonie i prawie całej Ameryce.

Twierdziły one, że zmieniają społeczeństwo tak, by kobieta mogła mieć w życiu wszystko: i karierę, i małżeństwo, i dzieci. Wzywały kobiety do podjęcia pracy zawodowej, ale mówiły, że matka nadal będzie mogła zostać z dziećmi w domu, o ile taki będzie jej wybór. Wkrótce jednak przekonaliśmy się, że kobiety, które

wybrały dom zamiast, powiedzmy, kandydowania do Senatu, zostały spisane na straty. Jedynym „prawdziwym” wyborem okazał się udział w propagowanym przez feministki wyścigu. Wszystko inne przedstawiano w najlepszym razie jako bezsensowne, a w najgorszym – jako świadome tłumienie bojowego okrzyku feministek: „Jestem kobietą i macie mnie słuchać!”.

Z perspektywy czasu widzę, że moje odejście od Kościoła nie było jednorazową decyzją spowodowaną jakimś konkretnym wydarzeniem albo brakiem zgody na jakiś punkt nauczania Kościoła. Wchłonęła mnie raczej powoli, krok po kroku, kształtująca się wówczas kultura. W efekcie stałam się typowym przykładem poprawnej politycznie katoliczki, która nie widziała nic złego w antykoncepcji i określała samą siebie jako „zwolenniczkę wolnego wyboru”. Wszyscy znamy tę śpiewkę: „Sama nigdy nie poddałabym się aborcji, ale...”.

Na fali zmian

Już od momentu ukończenia katolickiej podstawówki w 1973 roku dryfowałam coraz dalej od Kościoła. Uczące w mojej szkole siostry józefitki i świeccy nauczyciele dali mi co prawda mocną katechezę dotyczącą zasadniczych prawd wiary katolickiej, ale wraz z rozpoczęciem szkoły średniej moja formalna edukacja religijna dobiegła końca. Pozostało oczywiście chodzenie do kościoła z rodzicami, ale poza obowiązkami religijnymi (których spełniania wymagali rodzice) nie pobierałam już żadnych nauk. W latach siedemdziesiątych rodzice pozostawiali sprawę religijnej edukacji dzieci w rękach Kościoła. Szczerze mówiąc, sami nie byli do tego przygotowani. Za ich czasów do przekazywania wiary wystarczyły z powodzeniem lekcje religii i samo życie parafialne, więc nasi rodzice uznali, że i nam więcej nie potrzeba. Nikomu z nich nie śniło się nawet, że kultura końca XX wieku będzie tak wroga wierze i moralności Kościoła. Nikt nie przeczuwał, że ta nowa kultura będzie miała większy wpływ na katolickie dzieci niż tradycyjne, katolickie wychowanie.

Już jako dziecko uświadomiłam sobie, że pewnego dnia będę pracować w mediach. Wcześniej odkryto, że jestem wygadana i dobre siostrzyczki uznały, że

trzeba jakoś spożytkować energię takiej papli jak ja. Często wzywały mnie więc do czytania na głos i obsadzały w wielu szkolnych przedstawieniach. Po raz pierwszy stanęłam na scenie podczas jasełek, kiedy musiałam przed całą szkołą przeczytać krótki bożonarodzeniowy wiersz:

*Boże Narodzenie to blask choinkowych świec
To słodki cukierek i świeży, iskrzący śnieg...*

Ten niewielki debiut sprawił, że jako trzecioklasistka pokochałam występy przed publicznością. Uczciwie mogę powiedzieć, że podczas Pierwszej Komunii zakochałam się także w Jezusie. Moja miłość do Niego nie była jednak umacniana przez nauczycieli tak gorliwie jak moja miłość do popisów. Związek należy budować. Nie wystarczy zaangażować się sercem, trzeba go też zrozumieć i przemyśleć. Co prawda nikt nie musiał mnie specjalnie przekonywać, że Eucharystia to Ciało Jezusa Chrystusa, ale jak miałam korzystać z wydarzenia, które jest „źródłem i szczytem naszej wiary”, skoro moja miłość do Jezusa w Najświętszym Sakramencie wcale się nie rozwijała? Nie wiem, jak można się spodziewać wzrostu wiary, skoro prawie nie poświęca się jej czasu i wysiłku. Tak jednak postępowało – i postępuje – wielu posoborowych katolików.

Obecny arcybiskup Filadelfii, Charles J. Chaput, doskonale ujął problem efektów takiej „osmotycznej” katechizacji. W przemówieniu z października 2010 roku, skierowanym do uczestników Kongresu Katechetycznego w Kanadzie, porównał on dzisiejszych katolików do starotestamentowych Izraelitów: „Ponieważ zaniedbali katechizację, stali się nieodporni na kult idoli obecny w sąsiednich kulturach. I ostatecznie zaczęli modlić się do tych samych bóstw co poganie, wśród których mieszkali”. Katecheci zebrani w mieście Wiktoria w Kolumbii Brytyjskiej usłyszeli dalej, że w XXI wieku zmagamy się z tym samym, ponieważ nie uczymy się sami, ani nie uczymy innych, co tak naprawdę znaczy być chrześcijaninem i katolikiem:

„Jeżeli lud wierny nie wie już, czym jest wiara, jakie są obowiązki wiernych, ani jakie jest znaczenie misji, to jako przywódca ludu

– duchowni, rodzice i nauczyciele – nie możemy za to winić nikogo prócz siebie. Musimy się do tego przyznać i musimy to naprawić. Dla zbyt wielu z nas chrześcijaństwo nie jest synowską relacją z żyjącym Bogiem, ale pozostaje jedynie zwyczajem i tradycją. Staaliśmy się letni w naszej wierze i naiwni w ocenie świata. Utraciliśmy ewangeliczny zapał. I nie podołaliśmy zadaniu przekazania naszej wiary następnemu pokoleniu”².

Znalazłam się zatem w szkole średniej, nieprzygotowana na próbę wiary, która zaczynała majaczyć na horyzoncie. Nauczyciele zachęcali mnie, abym rozwijała moje zainteresowania mediami – i robiłam to z zaangażowaniem. Była to epoka afery Watergate, kiedy dziennikarstwo śledcze odsłaniało przed światem swoją potęgę. Marzyłam, by być kimś takim jak Bob Woodward i Carl Bernstein z „Washington Post”. Chciałam zmieniać świat na lepsze jako reporterka. Muszę też przyznać, że bardzo chciałam być w centrum uwagi, przed kamerami albo w studiu radiowym.

W tym samym czasie, zajęta rozwijaniem swoich zainteresowań, oddalałam się coraz bardziej od Boga. Moją postawę można by streścić słowami: „Dziękuję bardzo, dam sobie radę sama”. Pracowałam w piśmie uczniowskim, wygrywałam konkursy oratorskie, udało mi się nawet zaistnieć w szkolnej radiostacji. Mój katolicyzm ograniczał się do niedziel spędzanych z mamą i tatą. Taki sam tryb życia prowadziłam na studiach, i zanim się obejrzałam, skoro od mamy i taty dzieliły mnie teraz trzy godziny drogi, zaczęłam chodzić do kościoła tylko wtedy, gdy miałam do Boga jakiś interes. Jakże często próbujemy targować się z Bogiem! „Dobry Boże, spraw, żebym zdała ten egzamin, albo żebym dostała piątkę z pracy semestralnej, a obiecuję, że się poprawię i będę bardziej wierząca”.

A potem wesoło ruszałam dalej, zadowolona, że zaspokoiliam „jednorękiego bandytę”. Wrzuciłam „kościelne żetony” do duchowego automatu i oczekiwałam wielkiej wygranej. Wszystko, co poza tym wiązało się z wiarą, zniknęło

² Międzydiecezjalny Kongres Katechetyczny, Wiktoria, 15-16 października 2010 roku, <http://www.archden.org/index.cfm/ID/4728>.

we wstecznych lusterkach, kiedy na pełnym gazie pędziłam w świat. Droga, którą podążałam – droga myślenia tylko i wyłącznie o sobie – doprowadziła mnie do sporego sukcesu zawodowego, ale przy okazji o mało co nie straciłam męża – i co gorsza własnej duszy. Ktoś kiedyś powiedział, że „ego” to skrót od angielskiego zwrotu „easing God out” – „wygryzanie” Boga; dobrze opisuje on moje ówczesne życie.

Rewolucja seksualna i radykalny feminizm, które wybuchły w kampusach uniwersyteckich w latach sześćdziesiątych, były już nieźle okopane w środowisku akademickim, gdy dekadę później, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, sama studiowałam dziennikarstwo. Niestety, media poszły w ślad za modą na wyzwolenie kobiet i dawały pełne, bezkrytyczne poparcie samozwańczym reformatorom, wzywającym do zarzucenia tradycyjnej moralności seksualnej. Robiły też, co mogły, by stłumić głos Kościoła, zwłaszcza w sprawie antykoncepcji.

Przez cały okres studiów, kiedy uczyłam się i zdobywałam mnóstwo zawodowych doświadczeń na uczelni i poza nią, byłam przekonana, że ze względu na wymagający charakter i olbrzymią konkurencję w mojej profesji małżeństwo trzeba będzie odłożyć na potem, a być może w ogóle z niego zrezygnować. Nie próbowałam budować poważnego, trwałego związku, który mógłby prowadzić do małżeństwa. Zamiast tego szukałam doraźnego zaspokojenia. Z rozwiązłością seksualną zawsze idzie w parze antykoncepcja. Ksiądz John Ricardo, redaktor Radia Ave Maria z archidiecezji Detroit, mawia: „Bóg nienawidzi grzechu z jednego powodu: ponieważ nam szkodzi”. Określenie „grzech”, a dokładniej „grzech śmiertelny”, nie figurowało wtedy jeszcze w moim słowniku. Gdzieś w głębi duszy wiedziałam, jaka jest nauka Kościoła na temat antykoncepcji i współżycia przedmałżeńskiego. Ale moje sumienie stało się nieczułe z powodu wszechobecnej trywializacji seksu. Moje życie toczyło się wokół moich potrzeb i pragnień. Fakt, że robię, co chcę, kiedy chcę i z kim chcę, uważałam za przejaw wolności – tej wolności, o której kobiety pokroju Glorii Steinem³

³ Gloria Marie Steinem (ur. 1934), znana amerykańska feministka polskiego pochodzenia, założycielka pisma „Ms.” (przyp. tłum.).

i Helen Gurley Brown⁴ rozpisywały się ciągle na łamach czasopism takich jak „Cosmopolitan” albo „Ms.”. Papież Benedykt XVI w wystąpieniu skierowanym do uczestniczek watykańskiego Kongresu Kobiet w 2008 roku podsumował szkody, jakie wyrządza takie traktowanie wolności: „Kiedy mężczyzna lub kobieta chcą być niezależni i całkowicie samowystarczalni, grozi im, że skupią się na samorealizacji, która przewyciężenie wszelkich więzi naturalnych, społecznych lub religijnych uznaje za zdobycz wolności, ale w rzeczywistości skazuje ich na nieznośną samotność”⁵.

Koło ratunkowe od Boga

Na szczęście powiedzonko, które przytoczyłam wcześniej – jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, zacznij planować – nadal sprawdzało się w mojej wędrówce. Moja determinacja, by nie wychodzić za mąż i poświęcić się karierze, zaczęła się chwiać już dwa tygodnie po skończeniu studiów, kiedy to Bóg postawił mi na drodze mojego przyszłego męża. Jak miałam się później przekonać, Bóg rzucał mi w ten sposób koło ratunkowe, bo to mój mąż, z pomocą Ducha Świętego, pomógł mi po latach wydobyć się z rozpacz i wrócić do Kościoła.

W maju 1981 roku poznałam bardzo przystojnego Amerykanina włoskiego pochodzenia o imieniu Dominick. W 1980 roku, jako absolwent studiów inżynierskich na Uniwersytecie Pensylwanii, został zatrudniony przez firmę z Detroit. Tak się złożyło, że kilku członków mojej rodziny, w tym ojciec, wujek i szwagier, pracowali w tej właśnie firmie. Mój szwagier, który pracował z Dominikiem, pokazał mu któregoś dnia moje zdjęcie, a ten stwierdził, że chciałby mnie poznać. Reszta, jak mówią, to już historia. Zaręczyliśmy się w 1981 roku, pół roku po skończeniu przeze mnie studiów, a dwa lata później pobraliśmy się.

⁴ Helen Gurley Brown (ur. 1922), dziennikarka, pisarka i businesswoman, przez 32 lata była redaktorką naczelną pisma „Cosmopolitan” (przyp. tłum.).

⁵ Jedność i dwoistość męzczyzny i kobiety. Przesłanie Benedykt XVI do uczestników kongresu z okazji 20-lecia Listu apostołskiego *Mulieris dignitatem* (Watykan, 9 lutego 2008); http://www.opoka.org.pl/biblioteka/W/WP/benedykt_xvi/przemowienia/kobieta_09022008.html.

Mój mąż wychowywał się w takim samym środowisku jak ja. Był katolikiem. Jako chłopiec służył do Mszy św. w swojej parafii w Scranton, w Pensylwanii. On także stracił wiarę na studiach. Chociaż wzięliśmy ślub kościelny, żadne z nas nie przywiązywało wagi do nauczania Kościoła. Myśleliśmy, że aby być w porządku, wystarczy być miłym człowiekiem. Nie słuchaliśmy także nauczania Kościoła dotyczącego antykoncepcji. Egoistyczne wycofanie się z pełnego zaangażowania – używanie Bożego daru seksualności w celu zaspokojenia, a nie budowania jedności i przekazywania życia – doprowadziło do wielu problemów w naszym małżeństwie. W efekcie uznaliśmy, że małżeństwo opiera się na zasadzie „jak ty komu, tak on tobie”, że jest to raczej rodzaj umowy handlowej, a nie przymierze całkowitego oddania zakładane przez sakrament małżeństwa. Z pewnością nie byliśmy odzwierciedleniem miłości Chrystusa i Jego oblubienicy, Kościoła.

Kiedy człowiek jest młody, zakochany i dużo zarabia, wydaje mu się, że niczego mu w życiu nie brakuje. Dominick miał dobrą, pewną posadę, powoli pięł się po szczeblach kariery. Co do mnie, to w moim rodzinnym Detroit zaczynałam być znana jako dziennikarka radiowa. Nie minęło kilka lat a udało mi się zdobyć poważne stanowisko reporterskie w niezależnej stacji telewizyjnej. Kupiliśmy z mężem swój pierwszy dom. Nasze życie nosiło wszelkie znamiona sukcesu, ale brakowało w nim Boga. Staliśmy się, jak mawia mój obecny proboszcz, „ćwierćchrześcijanami” albo „odświętnymi katolikami”, którzy odeszli od wiary, a w kościele pojawiają się tylko na Boże Narodzenie i Wielkanoc.

Mniej więcej po roku pracy w telewizji otrzymałam nową propozycję. Szef serwisu informacyjnego zapytał, czy nie mam ochoty pracować na drugą zmianę. Oznaczało to transmisje na żywo dla programu informacyjnego o 22.00 przez pięć dni w tygodniu, a także w razie potrzeby prowadzenie całego programu ze studia. W myślach od razu wyraziłam zgodę. Musiałam jeszcze przedyskutować moje nowe godziny pracy z mężem, ale wiedziałam, że oznaczają one więcej okazji do występowania na wizji, a być może także większe pieniądze. Dominick i ja prawie o tym nie rozmawialiśmy. Wydawało nam się, że różne godziny pracy każdego z nas to żaden problem. W naszym mniemaniu

możliśmy to łatwo nadrobić, spotykając się w tygodniu na przerwie obiadowej i spędzając ze sobą „jakościowo lepszy” czas w weekendy. Co myśmy sobie myśleli? Prawda jest taka, że nie myśleliśmy wcale; nawet do głowy nam nie przyszło, żeby się pomodlić albo próbować rozeznaczyć cokolwiek przed tak ważną decyzją. Myśleliśmy tylko, że przecież mamy radę, bo się kochamy.

Nie upłynęło wiele czasu, zanim nasze małżeństwo – i w ogóle życie – zaczęło się psuć. Z pozoru sprawialiśmy wrażenie ludzi, którzy „mają wszystko”, ale wewnętrznie byliśmy bliscy rozpadu. Wymagania stawiane reporterom sprawiały, że musiałam często zostawać na przykład na miejscu morderstwa albo przed budynkiem, w którym zabarykadował się uzbrojony szaleniec, jeszcze długo po nadaniu relacji. Musiałam tam tkwić razem z kamerzystą, żeby zareagować natychmiast, gdyby coś się działo. Czasem kładłam się spać wyczerpana o trzeciej lub czwartej nad ranem – to wystarczyło, żeby wybić mi z głowy romantyczne obiady w środku tygodnia. Weekendy szybko zmieniały się w nieustanną kłótnię na temat domowych obowiązków – wiecznie niezakończonych z powodu nadmiaru pracy. Dominick awansował na kierownicze stanowisko i ponosił większą odpowiedzialność w pracy, przez co i on musiał stawić czoła większym wymaganiom. Żadne z nas nie dotrzymywało obietnic, które sobie nawzajem składailiśmy. Rosnąca niechęć powodowała wiele gorzkich słów i wrogich zachowań. W efekcie nasze relacje pogarszały się coraz bardziej.

Radykalne feministki stale przekonują nas, że kobieta, jeśli zechce, może „mieć wszystko”. Moje doświadczenie mówi coś innego. W mojej pracy nie tylko szefowie, ale i szefowe gardziły pracownikami, które nie byłyby w stanie poświęcić życia rodzinnego dla kariery. Stale słyszałyśmy, że jest mnóstwo ładniejszych dziewczyn, które w mgnieniu oka – i to za mniejsze pieniądze – zajmą nasze miejsce. Jeśli któraś z nas próbowała narzekać na długie godziny pracy, brak wolnych weekendów albo urlopu, przyczepiano jej etykietkę „awaryjnej” i powierzano tylko mniej ważne tematy. Na własnej skórze doświadczyłam hipokryzji, z jaką telewizja bezwzględnie krytykowała świat biznesu za niewłaściwe praktyki – dyskryminację, molestowanie czy złe warunki pracy – a równocześnie nie potrafiła uczciwie przyjrzeć się samej sobie.

Nigdy nie zapomnę bardzo drażliwej sytuacji, gdy jedna z koleżanek zaszła w ciążę. Była już dobrze po czterdziestce i w ciąży zaczęła mieć problemy ze zdrowiem. Kiedy wyjaśniła szefowej serwisu informacyjnego, że będzie musiała posłuchać lekarza i trochę mniej pracować, zwierzchniczka powiedziała jej po prostu, że nie jest pierwszą pracującą kobietą, która zaszła w ciążę, i że ma „wziąć się w garść” i ruszać do roboty. Odebrałam wtedy wyraźne ostrzeżenie: małżeństwo i życie rodzinne muszą zejść na drugi plan. W rezultacie byłam „dziewczyną na posyłki” – dyspozycyjną zawsze, gdy trzeba było brać nadgodziny, nawet w czasie urlopu. Nigdy nie myślałam o cenie, jaką w dłuższej perspektywie przyjdzie mi zapłacić za wynoszenie mojej „świętej” kariery ponad wszystko i wszystkich. Nigdy nie zastanawiałam się też nad hipokryzją tak zwanych feministek walczących o „wyzwolenie kobiet” – pochwalały one każdy wybór pod jednym warunkiem: że był on równoznaczny z ich wyborem.

Opatrznościowe zaproszenie

Aby wezwać nas do nawrócenia, Bóg potrafi posłużyć się każdym człowiekiem i wykorzystać wszelkie okoliczności. W naszym przypadku okazja nadarzyła się podczas meczu koszykówki. Dominick i ja zostaliśmy zaproszeni przez szefową serwisu informacyjnego i jej męża Gene’a na mecz rozgrywany przez drużynę Detroit Pistons, która wówczas kilka lat z rzędu zdobywała mistrzostwa NBA. Sport nie obchodził mnie w ogóle, ale zależało mi na tym, by być widzianą. Mieliśmy miejsca w pierwszym rzędzie w Pałacu Sportu w Auburn Hills. Dla świata był to kolejny sygnał, że „jestem na topie”. Tylko najbardziej znani celebryci mieli dostęp do takich biletów. Mój mąż, mimo że uwielbiał sport, nie miał najmniejszej ochoty iść na mecz, żeby rozmawiać o pracy. Zgodził się pójść tylko dlatego, że zdawał sobie sprawę, iż odrzucenie zaproszenia szefowej raczej nie pomoże mi w karierze. Jak się okazało, przyjęcie tego zaproszenia miało pomóc nam obojgu, bo od niego właśnie zaczął się nasz powrót do prawdziwej więzi z Chrystusem i ostatecznie do Kościoła.

Gene był producentem radiowym, a przy tym zaliczał się do „nowo narodzonych chrześcijan”. Widocznie wyczuł jakąś tęsknotę – albo jakiś brak – u mojego męża, bo kiedy ja zajęta byłam ściskaniem rąk, całowaniem niemowląt i upewnianiem się, czy miejscowi paparazzi zauważyli moją obecność, Gene wdał się w pogawędkę z Dominikiem i zaprosił go na kurs biblijny dla mężczyzn. Mój mąż jest inżynierem i zawsze powtarzam, że nawet kupno nowej koszuli zajmuje mu pięć lat. On sam żartuje często, że cierpi na „paraliż analizy”. Długo się zastanawia, zanim podejmie decyzję, a potem nie jest pewien, czy zdecydował właściwie. Tego wieczoru jednak przyjął zaproszenie – i to bez wahania. Wspominając tamto wydarzenie, doszliśmy do wniosku, że było to działanie Ducha Świętego, bo Dominick sam nigdy nie podjąłby tak natychmiastowej decyzji.

Kurs biblijny odmienił życie mojego męża. Studiował tam Stary Testament, między innymi Księgę Wyjścia, Liczb i Powtórzonego Prawa. Bóg, posługując się ministranckim doświadczeniem Dominicka, pomagał mu odnaleźć w Biblii odniesienia do Kościoła katolickiego, a zwłaszcza do Mszy św. – szczególnie w opisach szat kapłańskich, ołtarza i przybytku. Wkrótce po rozpoczęciu kursu biblijnego Dominick zapisał się na ogólnodostępne zajęcia prowadzone w Wyższym Seminarium Duchownym Najświętszego Serca w Detroit. Odkrywał Kościół na nowo i był tym tak podniecony, że ciągle na siłę częstował mnie cytatami z Biblii albo Katechizmu Kościoła Katolickiego. Co do mnie, to odstręczała mnie jego gorliwość i dalej zmierzałam w zupełnie przeciwnym kierunku. Nawal pracy i napięcia w domu nadal dawały nam się we znaki, a im bardziej Dominick zbliżał się do Boga, tym bardziej ja oddalałam się od mojego męża. Był dla mnie wyrzutem sumienia. Zaczął też wyrażać swoje wątpliwości na temat antykoncepcji, których ja zupełnie nie byłam gotowa wysłuchać.

Mimo że nadal bardzo kochałam mojego męża, kochałam też swoją pracę i nie bardzo potrafiłam sobie wyobrazić, jak ocalimy nasze małżeństwo, jeśli Dominick będzie się dalej upierał przy „tej swojej religii”. Kościół i jego nauczanie dotyczące antykoncepcji i aborcji postrzegałam jako restrykcyjne i przestarzałe. Hasła antykoncepcji i aborcji były mi bliskie od dawna, chociaż nigdy nie

nazwałabym siebie „zwolenniczką aborcji”. O, nie! Byłam jedynie „zwolenniczką wyboru”. Co ciekawe, mój mąż – chociaż i on odrzucił wiele z nauczania Kościoła – zawsze opowiadał się za życiem. Jako inżynier i człowiek naprawdę szanujący naukę uważał za rzecz oczywistą, że życie zaczyna się od poczęcia. Kobieta w ciąży nosi w swoim łonie dziecko, a nie wybór.

Poważne spory religijne i moralne dzieliły nas coraz bardziej. Sytuację pogarszał też brak wspólnie spędzanego czasu. I wtedy właśnie na nasze rozpadające się małżeństwo spadł kolejny cios – wyrzucono mnie z pracy. Pewnego pięknego dnia na prośbę szefowej zjawiłam się w studiu telewizyjnym wcześniej niż zwykle. W recepcji nie powiedziano mi, co to oznacza. Usłyszałam tylko, że szefowa chce mnie widzieć u siebie jak najszybciej. Pół godziny później wychodziłam na ulicę z pudłem osobistych rzeczy w ręku. Zostałam zwolniona z powodu jakiejś reorganizacji; telewizje informacyjne stale się reorganizują, żeby sprostać olbrzymiej konkurencji. Poprzedniego wieczora wraz z reporterami z całego kraju i z największych sieci telewizyjnych relacjonowałam na żywo głośny w całych Stanach przypadek brutalnego pobicia, którego dopuściła się policja z Detroit. Kiedy spada oglądalność programu, winę zazwyczaj zrzuca się na prezenterów. Przestałam być atrakcyjna. Nim upłynęło kilka tygodni, inne dziennikarki podzieliły mój los. Wracając do domu, prowadziłam samochód we łzach i w szoku; pamiętam, że myślałam o nadgodzinach, o straconych weekendach i urlopach. Po co mi to było? Poświęciłam tak wiele, a w zamian dostałam niewielką odprawę i eskortę do drzwi.

Dominick okazał mi wiele serca. Kazał mi się nie spieszyć i spokojnie pomyśleć nad moją dalszą karierą. Co do mnie, to nie miałam żadnych wątpliwości: chciałam wrócić na antenę i zrobić wszystko, żeby znów stać się prezenterką, która ma w sobie to „coś”. Dzięki Bogu, zostało mi chociaż tyle rozumu, że chciałam również ratować nasz związek. Zgodziłam się na terapię małżeńską, ale nie miałam zamiaru wracać do Kościoła.

Prawdę mówiąc, byłam wściekła na Boga. Pytałam: „Gdyby Bóg rzeczywiście mnie kochał, to czy pozbawiłby mnie tego jednego, w czym jestem naprawdę dobra?”. Gdy jednak miesiące mijały, a moje telefony do współpracowników

i szefów innych serwisów informacyjnych w mieście pozostawały bez echa, zdałam sobie sprawę, że może warto poświęcić czas nie tylko na poszukiwanie pracy, ale także na zastanowienie się nad sobą. Autorefleksja okazała się bolesna. Człowiek często jej unika, bo jeśli jest ze sobą szczerzy, osiągnięcie efektów wymaga wytężonej modlitwy i ciężkiej pracy. Jezus w Ewangelii św. Jana mówi, że chce nas oczyścić, przyciąć jak winną latorośl, żebyśmy mogli wzrastać. Takie oczyszczenie nie jest najprzyjemniejszym przeżyciem, możecie mi wierzyć! „Ja jestem prawdziwym krzewem winnym, a Ojciec mój jest tym, który go uprawia. Każdą latorośl, która nie przynosi we mnie owocu, odcina, a każdą, która przynosi owoc, oczyszcza, aby przynosiła owoc obfitszy” (J 15,1-2).

Minęło prawie pół roku odkąd straciłam pracę, zanim uznałam, że może „ten Bóg” i „ten Kościół”, w którym zostałam ochrzczona i wychowana, mają mi jednak coś do zaoferowania. Któregoś dnia, pogrążona w depresji, po prostu popatrzyłam na krzyż wiszący na ścianie w naszej sypialni i poprosiłam Boga, żeby wszedł w moje życie. Było to rozpaczliwe wołanie o pomoc i prowadzenie. Wkrótce potem odebrałam telefon z lokalnego oddziału jednej z największych sieci telewizyjnych w Ameryce. Chcieli się dowiedzieć, czy nie podjęłabym współpracy z zespołem serwisu informacyjnego w charakterze reportera. Pomyslałam sobie od razu: „Hej, to całe chrześcijaństwo jest super! Pomodliłam się i mam pracę. Chyba zaczyna mi się to podobać”. Nie miałam pojęcia, że prawdziwa praca – oczyszczanie latorośli – jest jeszcze przede mną.

Początek wędrówki z Bogiem

Podjęłam pracę w lokalnej stacji wielkiej sieci telewizyjnej, tym razem po długiej, poważnej rozmowie z mężem – i nie bez modlitwy. Obiecaliśmy sobie, że nie pozwolimy na to, by praca znowu nas rozdzieliła. Zaczęliśmy razem chodzić do kościoła i powoli angażowaliśmy się w życie parafii. Krok po kroku przechodziliśmy rekatechizację, w czym pomagali nam wspaniali bracia chrześcijanie, katolicy i protestanci. Był to dla nas emocjonujący okres. Nie

tylko stawialiśmy z powrotem na nogi nasze małżeństwo, ale co ważniejsze, naprawialiśmy więź z Bogiem. Powoli odkrywałam piękno nauczania Kościoła, zwłaszcza w kwestii życia i małżeństwa. Było to jak zdejmowanie kolejnych warstw z cebuli.

Podniecenie nie opuszczało mnie przez kilka lat. Mój nowy szef, chociaż sam nie był chrześcijaninem, widział, że mój katolicyzm jest dla mnie czymś ważnym i oprócz innych tematów, którymi zajmowałam się w pracy, zlecał mi relacje z wydarzeń związanych z wiarą. Pozwoliło mi to na pokazanie ruchu Promise Keepers⁶, zrobienie kilku wywiadów z kardynałem Adamem Majdą (ówczesnym ordynariuszem Detroit), a także relacjonowanie wizyty Jana Pawła II w Stanach Zjednoczonych w 1995 roku. Wierzyłam, że Bóg skierował mnie do sieci Channel 7 nie bez powodu i że czeka mnie długa i pełna sukcesów kariera w poważnej stacji w moim rodzinnym mieście. Znowu ten sam stereotyp: jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, zacznij planować!

Jest w Piśmie Świętym pewien werset, który często przytaczam, dając świadectwo na rozmaitych kongresach czy rekolekcjach. Pochodzi on ze Starego Testamentu, z Księgi Jeremiasza: „Będziecie mnie szukać i znajdziecie Mnie, albowiem będziecie Mnie szukać z całego serca. Ja zaś sprawię, że Mnie znajdziecie” (Jr 29,13-14). Powoli przekonywałam się, że szukanie Boga i znajdowanie Go to nie jednorazowe doświadczenie, ale wędrówka podejmowana każdego dnia. Czasem prowadzi nas ona tam, gdzie wcale nie chcemy iść, albo odsłania przed nami problemy, którym wcale nie chcemy stawiać czoła. W mojej wędrówce z Bogiem musiałam w pewnym momencie uświadomić sobie, że przemysł telewizyjny, który otaczałam taką czcią, zmienia się wręcz dramatycznie – i że nie jest to zmiana na lepsze. Zaczęło się od tego, że szef serwisu informacyjnego, który mnie przyjmował do pracy, został zwolniony, a na jego miejsce przyszedł, jak mawia się w mediach, „księgowy”. Zatrudniono go w celu zwiększenia wpływów i zmniejszenia kosztów. Ten rodzaj „zarządzania” nie był czymś wyjątkowym dla mojego miejsca pracy. Stosowano

⁶ Promise Keepers (Dotrzymujący Obietnic) – założony w 1990 roku w USA męski ruch ewangelizacyjny, niezwiązany z żadną denominacją chrześcijańską. Jego główną aktywnością są masowe wiece mężczyzn (w 1994 roku ruch zgromadził 1,4 mln mężczyzn w Waszyngtonie) (przyp. tłum.).

go wszędzie na rynku medialnym, zwłaszcza w dużych miastach, takich jak Detroit, gdzie utrzymywanie serwisu informacyjnego potrafi być bardzo kosztowne. W efekcie sztuka dziennikarska, która mogłaby – gdyby ją dobrze wykorzystano – inspirować, uczyć, informować i promować dobro, zaczęła służyć czemuś wręcz przeciwnemu.

W mojej redakcji, podobnie jak w niezliczonych innych redakcjach w Ameryce, wygrywała mentalność streszczająca się w stwierdzeniu: „im więcej krwi, tym ważniejsza wiadomość”. Przemoc, seks i sensacja – nie wspominając o głupotach i „rozrywkowych” wiadomościach określanych mianem *infotainment* – stały się treścią większości programów informacyjnych. Stronniczość mediów i nieuczciwe relacjonowanie wszystkiego, co się wiąże z wiarą, a zwłaszcza z Kościołem katolickim, stawały się coraz jaskrawsze i coraz powszechniejsze. Granica między podawaniem informacji a wygłaszaniem opinii zacierała się coraz bardziej.

Z początku ignorowałam ten przerażający trend, ale w końcu zdałam sobie sprawę, że sytuacja nie zmieni się i że najprawdopodobniej będzie coraz gorzej. Nikt nie przypuszczał, że nie tylko serwisy informacyjne, ale media w ogóle zostaną zdominowane przez treści tak odpychające, jak to widzimy dziś. Wiedziałam, że muszę wybrać. Albo zostanę w telewizji i będę starała się jakoś rozjaśniać panujące tam ciemności, albo odejdę i spożytkuję doświadczenie osoby znającej media od podszewki, aby pomóc innym zmieniać tę rzeczywistość. Miotalam się przez dwa lata. Zanim ostatecznie zdecydowałam się odejść ze świeckich mediów, próbowałam jeszcze wrócić do pracy w radiu. Tam jednak szybko przekonałam się, że atmosfera jest tak samo zła jak w telewizji, i musiałam dokonać ostatecznego wyboru: zostać czy odejść. Nietrudno zgadnąć, co wybrałam.

W lutym 2000 roku postanowiłam założyć własną firmę medialną, aby jakoś przeciwstawić się toksycznym treściom zalewającym media. Nie wiedziałam, co mam robić, ale byłam pewna, że Bóg pokaże mi drogę. I tak się stało. Początkiem moich publicznych wystąpień było zaproszenie, które dostałam od koleżanki pracującej w public relations. Zwierzała mi się kiedyś z frustracji,

jaką napawa ją przemysł informacyjny. Prowadziła nieustanną walkę o promowanie firm, których historie mówiły coś dobrego o rozwoju ekonomicznym albo o skutecznych działaniach wolontariatu. Coraz trudniej było jej jednak przebić się z jakąkolwiek pozytywną wiadomością. Ucieszyła się, gdy usłyszała o moim pragnieniu upowszechniania wiedzy o mediach, i uznała, że moje uwagi mogą okazać się interesujące dla miejscowego oddziału Amerykańskiego Stowarzyszenia Public Relations. Przychylne przyjęcie tego pierwszego wystąpienia zaowocowało kolejnymi zaproszeniami. Nie minęło kilka miesięcy, gdy zaproponowano mi prowadzenie własnej audycji w lokalnej chrześcijańskiej stacji radiowej. *Chrześcijańskie rozmowy Teresy Tomeo* były na antenie przez dwa lata, a potem Al Kresta, znany apologeta katolicki, gospodarz audycji *Kresta na popołudnie* i dyrektor Ave Maria Communications, ściągnął mnie do Radia Ave Maria. Dzięki Bogu *Katolickie koneksje Teresy Tomeo* są od tamtej pory stale na antenie, a mój program, tak samo jak audycja Ala Kresty, nadawany jest równocześnie przez ponad 170 stacji radiowych w ramach Globalnej Sieci Katolickich Rozgłośni Radiowych EWTN.

Jest jeszcze jeden cytat, który przytaczam, dzieląc się historią mojego powrotu do Kościoła. Pochodzi on z Listu św. Pawła do Rzymian: „Wiemy też, że Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra, z tymi, którzy są powołani według Jego zamiaru” (Rz 8,28). Zauważcie, że Paweł mówi: „we wszystkim”. To znaczy nie tylko w tym, z czego jesteśmy dumni, ale we wszystkim: w dobrym, złym i – tak! – nawet w najgorszym. Wszystkie doświadczenia, które wyniosłam z ponad dwudziestoletniej pracy w mediach, z moich problemów małżeńskich, z niezgody na nauczanie Kościoła leczonej potem przez wiele lat – wszystko to dziś przyczynia się do chwały Boga i służy szerzeniu Ewangelii.

Przez lata poprzedzające mój powrót do Kościoła bardzo potrzebowałam duchowej odnowy; potrzebny mi był nowy, zupełnie nowy styl. Nie potrafiłam patrzeć na siebie oczami Chrystusa. Perspektywa Pisma Świętego i nauczania Kościoła była mi zupełnie obca. I dlatego życie wymknęło mi się spod kontroli. Mogłabym wiele mówić o skutkach moich grzechów. Będzie na to czas później,

przy okazji głębszej analizy radykalnego feminizmu, aborcji, antykoncepcji i negatywnej wizji ciała. Na razie powiem tylko, że na własnych błędach nauczyłam się paru rzeczy. Nadal zresztą się uczę. Moja wędrówka z Bogiem jeszcze się nie skończyła. Ale jednego jestem pewna już teraz: Bóg i Jego Kościół mają rację. Jak powiedział kiedyś nieodżałowany, wielki arcybiskup Fulton Sheen⁷: „Prawda pozostaje prawdą, nawet jeśli nikt w nią nie wierzy. A kłamstwo pozostaje kłamstwem, nawet jeśli wszyscy w nie wierzą”.

Prawda ujawniona

Kościół posiada pełnię prawdy. Obecnie, w dobie „dyktatury relatywizmu”, jak powiedział Ojciec Święty Benedykt XVI⁸, wydaje się, że zwycięża „ja” tego świata. Bóg został wyparty – a raczej usunięty siłą – z naszego postrzegania rzeczywistości. To smutne, że kłamstwa tego świata tak wielu uważa za prawdę. Antykoncepcja, aborcja, rozwiązłość seksualna i związki osób tej samej płci są – zdaniem mediów – kwintesencją amerykańskiego stylu życia. W dążeniu do tolerancji akceptujemy wszystko, a po drodze tracimy własną tożsamość. Tracimy ją także, gdy na pierwszym miejscu stawiamy pozycję społeczną i majątek.

To, co mówię, wynika z mojego osobistego i zawodowego doświadczenia. Jako dziennikarka, specjalistka od mediów i pisarka, od ponad dziesięciu lat zbieram dane, piszę i mówię na temat problemów trapiących naszą kulturę. Można zaprzeczać prawdzie, ale nie sposób ciągle jej ukrywać. Bóg zaprojektował nas w pewien konkretny sposób i jeśli sprzeciwiamy się naturalnemu porządkowi, czyli prawu naturalnemu, konsekwencje okazują się bolesne. Nie trudno to dostrzec, jeśli tylko nie zaprzecza się rzeczywistości. Fakty mówią same za siebie. Od czasu wyroku w sprawie Roe przeciwko Wade z 1973 roku⁹

⁷ John Fulton Sheen (1895-1979), amerykański duchowny katolicki, biskup pomocniczy Nowego Jorku, biskup Rochester i arcybiskup tytularny Neoportus. W 2002 roku otwarto jego proces beatyfikacyjny (przyp. tłum.).

⁸ Homilia kard. Josepha Ratzingera podczas Mszy św. poprzedzającej konklawe «pro eligendo Romano Pontifice» wygłoszona 18 kwietnia 2005, http://www.opoka.org.pl/biblioteka/W/WR/inne/ratzinger_proeligen-do_18042005.html.

⁹ Precedensowy wyrok Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, który zalegalizował aborcję na życzenie z niewielkimi ograniczeniami (przyp. tłum.).

w Stanach Zjednoczonych wykonano ponad pięćdziesiąt milionów aborcji. Choroby przenoszone drogą płciową osiągnęły rozmiary epidemii; co roku notuje się dziewiętnaście milionów nowych zachorowań. Odsetek rozwodów w USA jest dwukrotnie wyższy niż w innych wysoko rozwiniętych krajach; niemal 40 procent wszystkich dzieci i 70 procent dzieci afroamerykańskich rodzi się poza małżeństwem. Zmasowany atak pornografii i treści nacechowanych seksualnie w mediach pociąga za sobą bezprecedensowe uprzedmiotowienie kobiet. Jak na ironię, badania ujawniające istnienie tych niebezpiecznych trendów prowadzone są głównie przez świeckie gremia doradcze, organizacje i uczelnie, co jeszcze mocniej dowodzi słuszności prawa naturalnego i nauczania Kościoła.

Koniec końców okazuje się, że to Kościół dzisiaj – tak jak zawsze i jak za czasów Jezusa Chrystusa – oferuje kobietom prawdziwą wolność. Od wielu wieków to właśnie Kościół głosi prawdziwą równość mężczyzn i kobiet. Jan Paweł II, w bliższych nam czasach, zarówno w liście apostoelskim *Mulieris dignitatem* z 1988 roku, jak i w *Liście do kobiet* z 1995 roku, wzywał między innymi do równej płacy za równą pracę i do większego wsparcia pracujących matek. Niestety, treści przekazywane w prasie kobiecej, w telewizji, filmach i programach informacyjnych, na wszelkie możliwe sposoby podważają – i pomniejszają – prawdę i piękno nauczania Kościoła, zwłaszcza w odniesieniu do kobiet. Kobiety pod wieloma względami stały się własnymi największymi wrogami, bo uwierzyły, że muszą kopiować najgorsze zachowania mężczyzn, by osiągnąć spełnienie i szczęście. Wybitna profesor prawa i przedstawicielka ruchu pro-life, Helen Alvaré, podkreśliła ten fakt w swoim wystąpieniu podczas watykańskiego kongresu w 2008 roku:

„Z jednej strony widzimy, jak silna była pokusa wyrwania kobiet z ograniczonych ról przypisywanych im w dawnych czasach. Odpowiedź tego rodzaju feminizmu zawierała jednak i nadal zawiera wiele podstawowych błędów. Feminizm ten czerpał bowiem wzorce z najgorszych męskich zachowań. Kobieta-feministka była zachęcana do bycia osobą szukającą przygód seksualnych, gardzącą

małżeństwem i dziećmi, skupioną przede wszystkim na karierze i zarabianiu pieniędzy”¹⁰.

Od lat sześćdziesiątych dziennikarki pokroju Helen Gurley Brown przekonywały, że kobiety mogą, jeśli chcą, wykorzystywać swoje walory seksualne w celu robienia kariery i zdobywania wymarzonych mężczyzn. Słuchając takich rad, kobiety skupiły się na tym, czym podobno gardziły feministki – czyli na sposobach uwodzenia mężczyzn. Chociaż wydawany przez Brown „Cosmopolitan” głosił, że kobieta nie powinna być traktowana jak obiekt seksualny, jego graniczące z pornografią okładki i artykuły wykrzykiwały zupełnie coś innego. Niezliczone pisma dla kobiet i nastolatków zaczęły podkreślać seksualność, podobnie jak skierowane do kobiet filmy, reklamy i programy telewizyjne. A co mianowicie zyskałyśmy przez to eksponowanie kobiecego ciała? Kobiety są dziś uprzedmiotowione bardziej niż kiedykolwiek. Jak wyjaśniała w Rzymie Helen Alvaré, nie jest to wyłącznie wina mężczyzn:

„Nie ogranicza się to do przemysłu pornograficznego ani nawet do reklam, filmów czy programów telewizyjnych. Wręcz przeciwnie, zwykle kobiety w każdym zakątku Ameryki kupują ubrania zaprojektowane tak, by podkreślały albo eksponowały te części ciała, które mają konotacje erotyczne. Liczne kobiety poniżają się także przez swój sposób mówienia albo pokazywania się w mediach, co stopniowo pozbawia je wrażliwości na fakt, że kobieta uznawana jest za piękny, nacechowany seksualnie przedmiot konsumpcji”¹¹.

Gdzie są feministki, gdy trzeba podjąć temat uprzedmiotowienia kobiety, zwłaszcza tam, gdzie, jak wykazuje Alvaré, kobiety same jeszcze bardziej pogarszają swoją sytuację? Czy nie przeciwko temu właśnie protestowały pierwsze feministki, paląc biustonosze na stosach? Jak wiele z nas, wychowujących się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, słyszało – a może nawet mówiło innym – że kobieta to coś więcej niż części ciała?

¹⁰ H. Alvaré, *The Reduction of Femininity to an Object of Consumerism* (Redukcja kobiecości do przedmiotu konsumpcjonizmu), Watykan, 8 lutego 2008.

¹¹ Tamże.

Z sondażu przeprowadzonego w 2009 roku przez Amerykańskie Towarzystwo Chirurgów Plastycznych wynika, że wiele kobiet uważa, iż w czasach kryzysu ekonomicznego lepszą pozycję w pracy może im zapewnić młodszy wygląd, a nie bardziej wytężona praca albo lepsze CV. Jak się wydaje, nie brak kobiet, które złapały przynętę „Cosmo girl”. Dały się przekonać, że do szczęścia potrzeba im przede wszystkim seksapilu, a mężowie i dzieci muszą zejść na dalszy plan. Jakimś cudem ja sama, mimo że również dałam się nabrać tym zapewnieniom, znalazłam drogę do Boga i odkryłam na nowo moje katolickie dziedzictwo. Nie było to ani łatwe, ani przyjemne. Ale dla Boga nie ma nic niemożliwego. Owszem, potłukłam się i posiniaczyłam. Ale przeżyłam. I nie tylko to: dzięki łasce wszechmogącego Boga rozkwitłam i stałam się kobietą, jaką zawsze miałam być.

Książka i powody jej napisania

Dlatego właśnie napisałam tę książkę – żeby powiedzieć innym o przemieniącej mocy łaski Boga. Nie myślałam tylko o własnej historii, ale o historii tylu innych kobiet, które uwiodła mantra „wyboru” i które nagle odkryły, że w życiu brakuje im czegoś, co jest istotnym elementem prawdziwego szczęścia. W mojej pierwszej książce pt. *Noise. How Our Media-Saturated Culture Dominates Lives and Dismantles Families* (Zgiełk, czyli jak przesycona mediami kultura opanowuje życie i rozbija rodziny) próbowałam poddać analizie media oraz ich wpływ na rodzinę i społeczeństwo. Zbierając materiały do książki, zaczęłam zauważać, że przekaz medialny jest bardzo często adresowany do kobiet i wykorzystywany do tego, by skłonić je do zaakceptowania konkretnego zachowania albo stylu życia, który tak naprawdę jest dla nich szkodliwy. Na nieszczęście w dużym stopniu media odniosły na tym polu sukces i stworzyły kulturę, w której wartością nadrzędną jest tak zwana wolność osobista. W kolejnych rozdziałach przedstawię dowody na to, że „wolność” ta w rzeczywistości prowadzi do różnych form zniewolenia, jednocześnie odciska się bardzo negatywnie na fizycznym, emocjonalnym i duchowym samopoczuciu kobiety.

Niestety, przedstawicielki płci pięknej często nie rozumieją, że przyjmując serwowaną przez media definicję wolności, wyrządzają sobie wielką krzywdę. Nie znają niszczących następstw aborcji, antykoncepcji, rozwiązłości i życia z mężczyzną bez ślubu. Nie wiedzą też, czym grozi wiara w to, że osiągnięcie sukcesu i szczęścia wymaga od nich stłumienia wrodzonych talentów i zdolności, aby mogły stać się rozerotyzowanymi kobietami, a równocześnie coraz bardziej przypominać mężczyzn.

Regularnie odbieram przesyłane mi pocztą elektroniczną prośby o adresy internetowe, artykuły czy dane statystyczne dotyczące niezliczonych problemów społecznych, zwłaszcza dotyczących kobiet i dziewcząt. Mam nadzieję, że moja książka stanie się podręcznym źródłem wiedzy dla kobiet, które chcą zrozumieć zmiany zachodzące w naszej kulturze i poznać odpowiedzi Kościoła. W tym celu na końcu każdego rozdziału umieściłam pytania do przemyślenia, dodałam listę przydatnych źródeł, a także rady, jak osiągnąć nowy styl obcowania z mediami i jak skorzystać z gabinetu duchowej odnowy (zob. Rozdział 7).

Teraz jest już jasne, co ktoś taki jak ja robi w Kościele – wzywa na pomoc Tego, który ucisza burze, nie wyłączając wciąż szalejącej wokół nas burzy cywilizacyjnej; Tego, który przemienia świat, zaczynając od jednej osoby, jednej kobiety na raz. On chce, żeby każda z nas widziała siebie tak, jak On ją widzi: jako córkę wielkiego Króla. Pora, żebyśmy wszystkie – po raz pierwszy albo na nowo – odkryły Chrystusa i naukę Jego Kościoła oraz przekonały się, jak to ponadczasowe orędzie może przemienić nas i cały świat, wewnątrz i zewnętrznie. Pora na całkiem nowy, niebiański styl.

*Przez wzgląd na Syjon nie umilknę,
przez wzgląd na Jerozolimę nie spocznę,
dopóki jej sprawiedliwość nie błysnie jak zorza
i zbawienie jej nie zabłyśnie jak pochodnia. (Iz 62,1)*